Nr. 27 Rok 5 Kraków, dnia 2 lipca 1944. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski



MAKI

Fot. Borek

W Normandii



Fot: ᛋᛋ PK. Stollberg

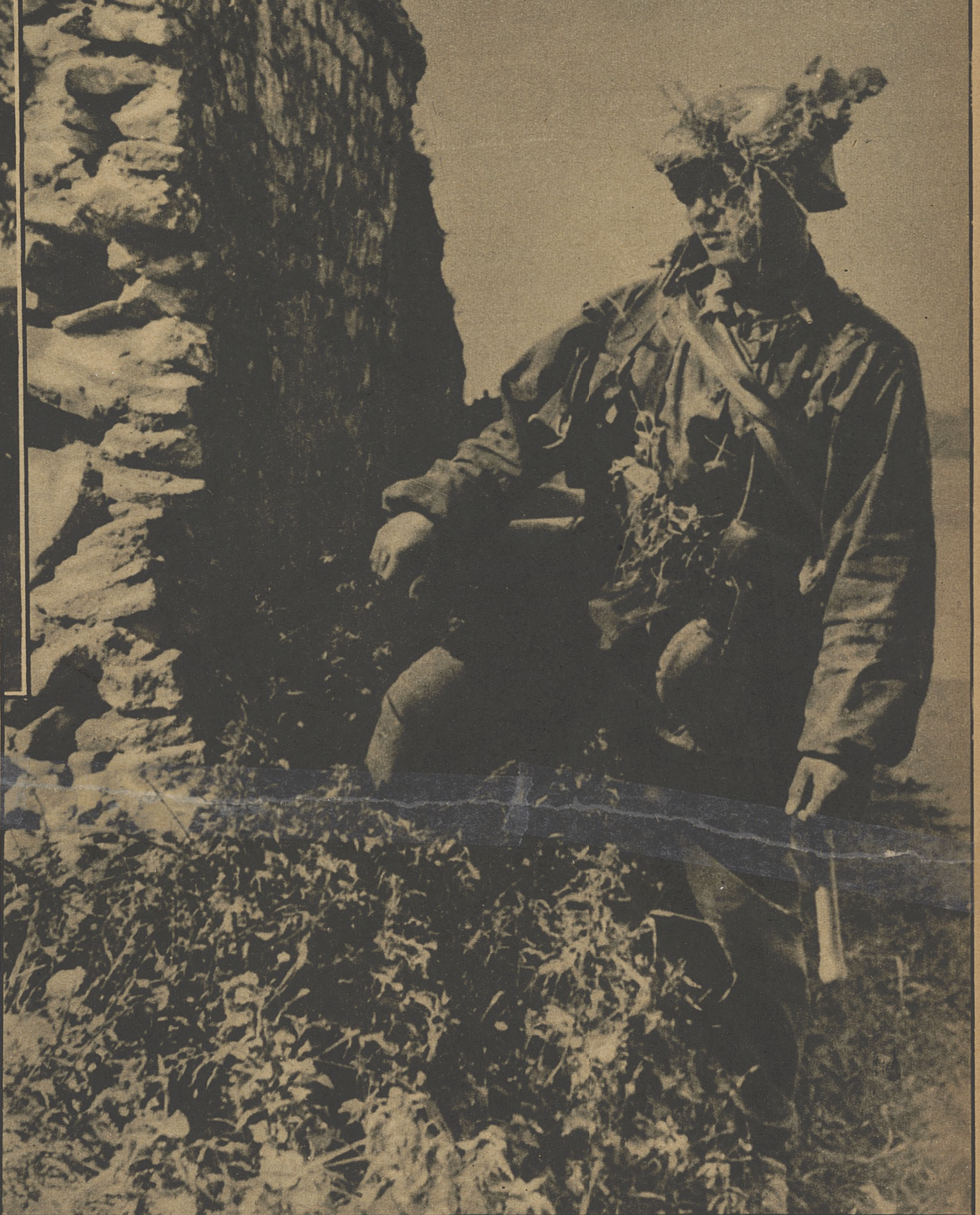






Powyżej:
W OGNIU BITEWN
Wśród ciężkiej walki tyjsko-amerykańskie od działy zmuszone były w cofać się z małego mi steczka. Pomiędzy pa cymi się domami pędz niemieccy gońcy motocyklach z meldun kami do nowej lin frontowej.
Na lewo w kole:
W UCIECZCE PRZE NAPASTNIKIE
Spośród gruzów, sp stoszonych przez A glo-Amerykanów d mów miasta Caen, uwo- zi ten Francuz wraz z swą małżonką resztki ura- towanego mienia w bez- pieczne miejsce. Na lewo:
W CIĄGŁYM POGOTOW OGNIOWY
Z oddali dolatuje łoskot moto rów samolotowych. Zbliża się przyjaciel. Natychmiast zaczną pełn służbę karabiny maszynowe.

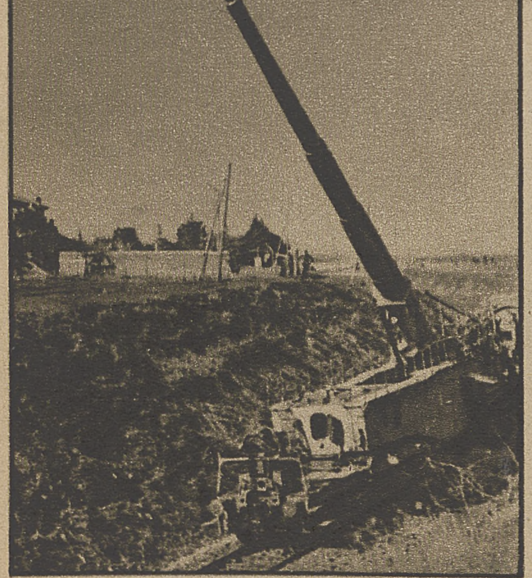




NA STANOWISKU
Spoza resztek muru obserwuje bacznie młody grenadier pancerny teren, na którym za chwilę rozwinie się niemieckie przeciwnatarcie.

Na lewo poniżej:
WŚRÓD GRUZÓW I SPUSTOSZEŃ
Zrujnowana ulica jednego z miast w Normandii; tak wygląda w czynie „oswobodzenie" anglo-amerykańskie. Domy mieszkalne legły w gruzach, katedra — czcigodny zabytek średniowiecznej kultury, doznała ciężkich uszkodzeń.

Fot: PK. Pachnicke, Hähle, Stollberg, Biewend-TO, Schwarz-Atl, PBZ.



W GOTOWOŚCI DO WALKI
Ciężkie, ruchome działo niemieckie na pozycji frontowej w Normandii.



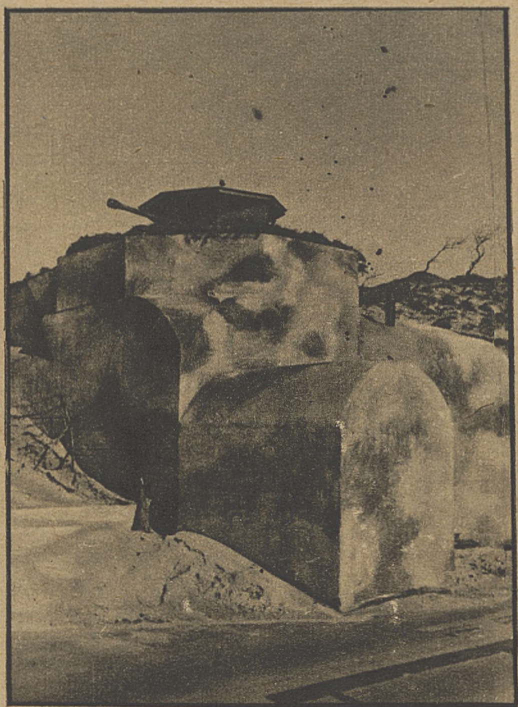
PRZED ATAKIEM
Dowódca niemieckiego oddziału czołgowego omawia ze swoimi żołnierzami przed bitwą plan ataku.



W CAEN
Gdzie pierwej znajdowały się ławy zapełnione tłumem modlących się — teraz jako s ataków bombowych angielsko-amerykańskich samolotów pozostały tylko zwaliska nawy kości



NA POLU BITWY
Setkami leżą te zniszczone angielskie i amerykańskie czołgi u wybrzeży Kanału w Normandii. Niemieckie pociski celnie dziurawiły na wskroś ściany tych potworów bojowych.

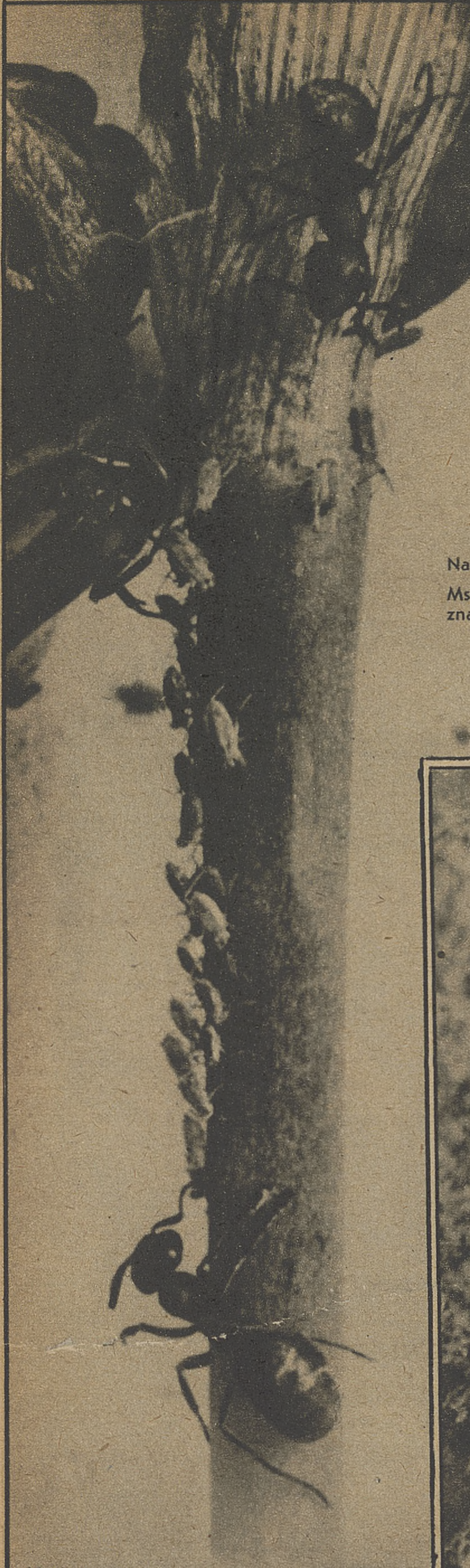


BUNKER
Jak okiem sięgnąć, widnieją niemieckie bunkry, usiłowanie zdobycia których kosztowało napastnika morze krwi.



„PANTERA"
Najnowszy niemiecki typ czołgu w drodze na front w Normandii.

Fot: Dr. Schmidt-Schaumburg





Na lewo:
Celowa budowa ciała mrówki jest widoczną. Piękną nie jest mrówka — ale o to nie dbają symbole pracy. Chodzi o użyteczność i dostosowanie się do zadań życiowych, nie o wygląd zewnętrzny.

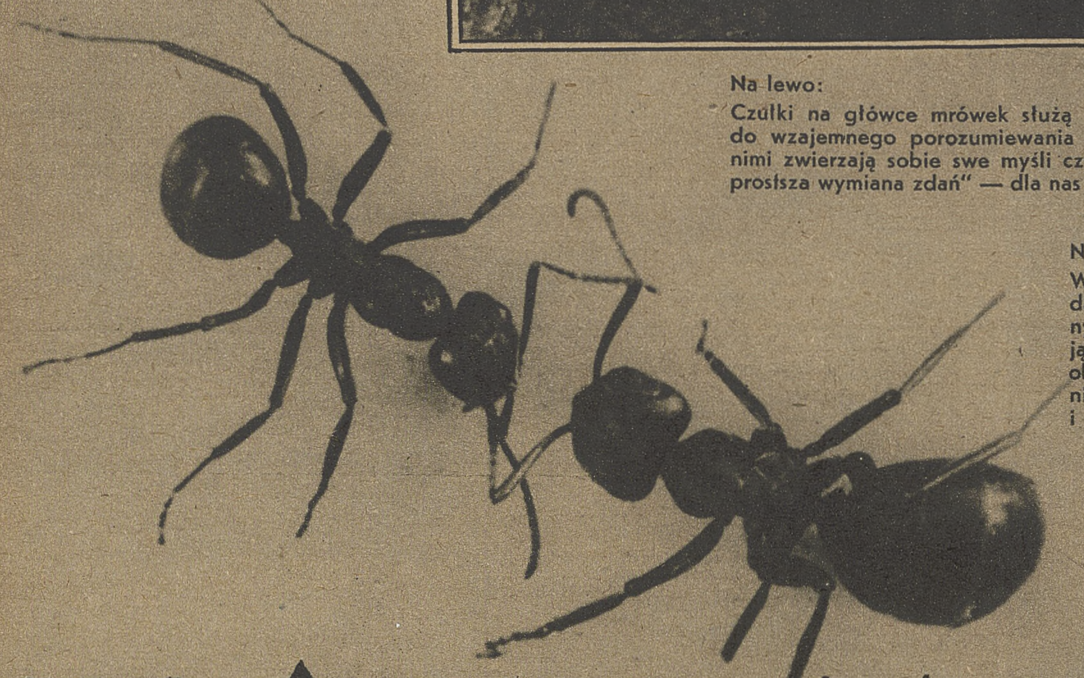
Poniżej:
Większe stworzenie, stanowić mające zdobycz, zostaje wspólnie napadnięte, pokonane i w całości lub częściowo „dostawione" do magazynów żywnościowych w kopcu.

Na lewo:
Mszyce — hodowane jako krowy mrówek doznają opieki i pełnego szacunku w społeczeństwie kopca.





Na prawo:
Czas opuszczenia kokonu nadszedł. Wykształcona już zupełnie mrówka opuszcza swe jedwabiste więzienie przy czujnej i chętnej pomocy dwóch mrówek-pielęgniarek.



Na lewo:
Czułki na główce mrówek służą im między innymi do wzajemnego porozumiewania się. Dotykając się nimi zwierzają sobie swe myśli czy też jest to „najprostsza wymiana zdań" — dla nas niestety niepojęta.



Na prawo:
W dniu wyroju widać moc uskrzydlonych mrówek gotujących się do lotu — obsiadłych wypróchniałe pnie drzew i najbliższą okolicę mrowiska.

TAJEMNICZY

ŚWIAT MRÓWEK

Zapewne Czytelniku ruszysz z politowaniem ramionami. Bo cóż za „oklepany" temat! Mrówki! Każdemu chyba wiadomo „na wylot" wszystko o pszczołach i o . . . mrówkach właśnie. O tych genialnych, małych stworzonkach, co to mądrością, organizacją i tak dalej, i tak dalej... Zaraz, zaraz! Każdemu wiadomo! Owszem, wiemy wszyscy to i owo o pszczołach i mrówkach, ale, gdyby nam kazano stworzyć maleńki referacik na temat mrówek, ich pracy, życia, zwyczajów, upodobań, walk, radości i smutków ich społeczeństwa — powiedzmy szczerze, niebardzo wiedzielibyśmy jak zabrać się do tego . . . Pokrótce streścimy tedy w niniejszym artykuliku może wiele fachowych prac i rozpraw — dzieł nawet, poświęconych tak straszliwie powszednim mrówkom. Wspaniale rządzone państwo malutkich tych pracowników budziło od niepamiętnych czasów szczery podziw ludzi. Mrówki uznano za symbol pracowitości, stawiając je w jednym rzędzie pod tym właśnie względem z pszczołami. Tylko — o ile te ostatnie łączą trud bytowania z łatwością przenoszenia się z miejsca na miejsce — o tyle mrówkom przypadł przykrzejszy los w udziale: pędzą swój znojny żywot jako owady bezskrzydlne, pozbawiając się wyrokiem przeznaczeń samorzutnie tych organów lotnych. Czemu — nie nam badać i krytykować niezmienne prawa rządzące przyrodą. Każda mrówcza istotka wylęgła z jajka jest już z góry predystynowaną do spełniania pewnych ściśle określonych funkcyj w życiu, różniąc się budową od współsióstr mrowiska. Albo mają wyrosnąć z larw bowiem przyszłe matki dalszych pokoleń, albo mają z nich rozwinąć się zastępy pracownic, albo też jajko kryje w sobie groźną postać wojownika, obrońcy mrowiska, słowem, żołnierza. Przyglądnijmyż się na moment, choćby tylko różnym rodzajom zadań mrówki-pracownicy. Z daleka nie raz ciągną z ogromnym nakładem sił gromady mrówek materiały na budowę kopcagrodu. Z godną podziwu, niezmordowaną wytrwałością wloką czarne masy robotnicze różne przedmioty — przewyższające częstokroć swym ciężarem i wielkością wagę i wymiary ciała danej mrówki. Gdzie jednakowoż indywidualna praca nie może podołać zadaniu, tam natychmiast zjawia się pomoc. Widzimy „specjalne oddziały" starające się o gromadzenie i zdobywanie żywności, polujące niekiedy zażarcie na zdobycz i albo w całości albo już poćwiartowaną dostarczające ją do magazynów. Mnogie zastępy myśliwych tego rodzaju drapią się na wysokie łodygi roślin, by z ich liści przynieść do spiżarni kopca ulubiony sok mszyc, miód czy syrop w pojęciu mrówek. Drażnione bowiem czułkami mrówek mszyce, oddają słodkawą wydzielinę, odpowiadającą szczególnie gustowi mrówczych konsumentów. Całe kolonie mszyc instalowane bywają w mrowisku, służąc tam jako „będące zawsze pod ręką" „dojne krowy". Olbrzymia część mrówek oddaje się wyłącznie tylko i jedynie pracy wewnątrz mrowiska. Że takie „domatorstwo" to też wcale a wcale nie lekka robota, o tym łatwo można się przekonać na podstawie cierpliwych obserwacyj. Głęboko w ziemię muszą być wpuszczonymi chodniki wiodące do mnóstwa ubikacyj i części mrowiska przeznaczonych ku specjalnym celom. Składy z żywnością, apartamenty królowych — matek, komory wylęgowe i hodowlane, nastręczają dużo trudności wykonawczo-konstrukcyjnych i konserwatorsko-restauracyjnych. Ba! A samo sypanie kopca, czyż nie należy do ciężkich i trudnych zadań? A troska o należyty stan hygieniczny mrowiska, więc służba „sanitarna", grzebanie i usuwanie na zewnątrz odpadków wszelakiego rodzaju, martwych ciał współplemieńców i unieszkodliwionych wrogów? Samo tylko „dozorowanie" królowych i ich niezliczalnego wprost potomstwa daje do licha i trochę pracy w ulach u pszczół. A w mrowisku jest kilka lub kilkanaście niosących jaja matek — które trzeba karmić, czyścić, odbierać od nich stosy złożonych jaj i troszczyć się o wylęg i pielęgnację młodych mrówek. Bez maszynowo po prostu funkcjonującej aparatury administracyjno-wykonawczej nie podobna sobie stanowczo wyobrazić możliwości istnienia i rozwojowego bytu mrowiska. Dzień za dniem każdy członek mrówczej społeczności jest na wyznaczonym przez instynkt czy organizacyjną spójnię miejscu — cudowna harmonia olbrzymiej pracy zbiorowej napawać musi zdumieniem każdego, kto wglądnął w tajnie egzystencji mrowiska-państwa, mrowiska-metropolii, mrowiska-gminy czy nawet mrowiska-osady zaczątkowej mrówczego plemienia.



Powyżej:
Wysoko rozwinięty zmysł społeczny i towarzyski mrówek przejawia się w udzielaniu sobie różnych wzajemnych świadczeń. Oto mrówki karmiące zdobyczą koleżankę, albo bardzo zapracowaną albo nie zdolną do wyszukania sobie pokarmu z tego czy innego powodu.



Powyżej:
Wiele mozołu kosztuje dowleczenie na miejsce przeznaczenia budulcowego materiału, większego niejednokrotnie i cięższego od samej mrówki. Przy wspólnych wysiłkach dochodzi się jednak do upragnionego rezultatu.



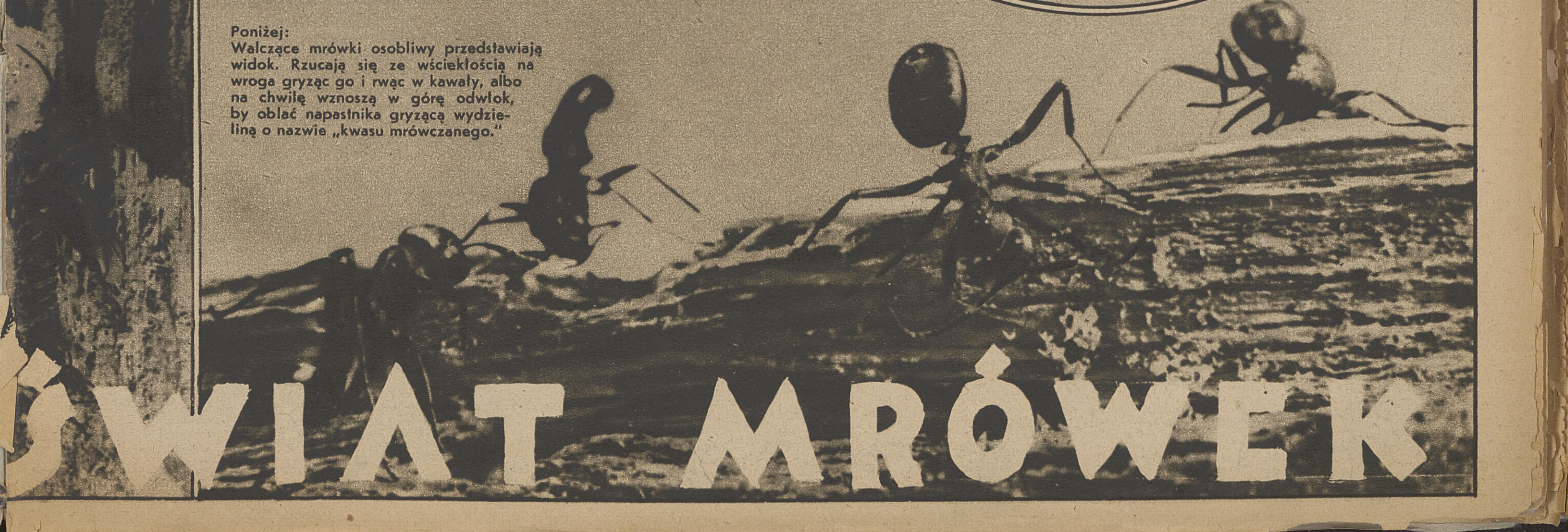


Powyżej:
Wabi błękit nieba i okres godowego lotu niedaleki. Usłużne mrówki-robotnice pomagają swej nowo-wylęgłej siostrze w rozprostowywaniu wilgotnych jeszcze skrzydełek.



Na prawo:
Po locie godowym opadają zapłodnione samiczki na ziemię, gdzie robotnice obrywają im natychmiast skrzydła, unosząc je po tym do miejsca składania jaj wewnątrz mrowiska.





Poniżej:
Walczące mrówki osobliwy przedstawiają widok. Rzucają się ze wściekłością na wroga gryząc go i rwąc w kawały, albo na chwilę wznoszą w górę odwłok, by oblać napastnika gryzącą wydzieliną o nazwie „kwasu mrówczanego."

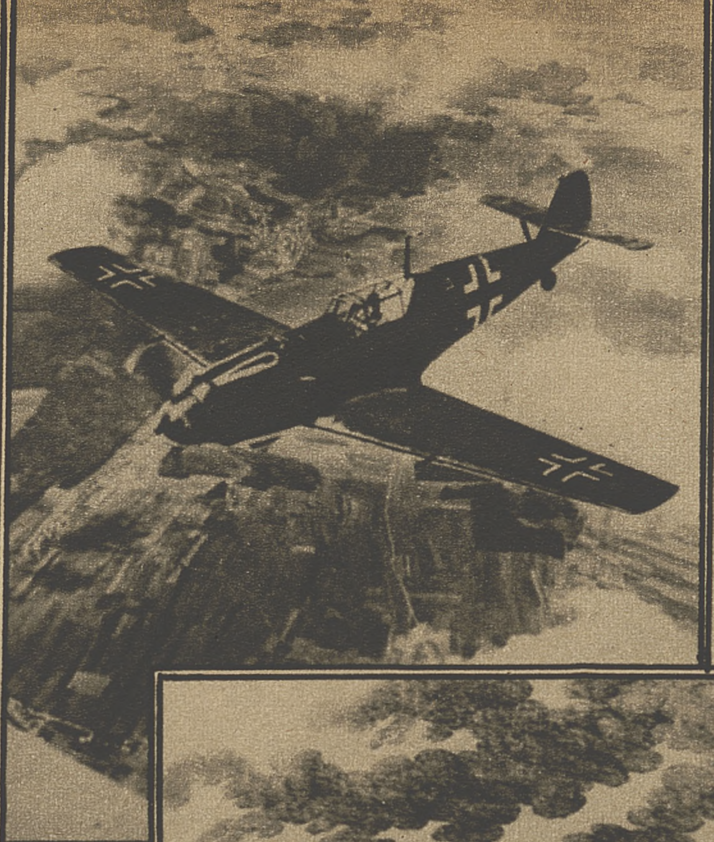
WCZORAJ SENSACJĄ — DZIŚ POWSZEDNIOŚCIĄ

Fantazja wyprzedzała zawsze wyczyny techniczne, budując niejako bity gościniec dla wynalazczych usiłowań geniuszu ludzkiego.

Marzenia, rzec można-by, senne — naszych praojców, stawały się bliskimi urzeczywistnienia za ich następców, a synowie tych ostatnich nadawali realne kształty i gruntowali wspaniałe wyniki w dziedzinie możliwości i „niemożliwości" konstrukcyjnych wielkich wynalazków.

Fruwający człowiek absorbował wszakże już umysły starożytnych Greków. Co było udziałem ptaków, czemuż nie miałoby stać się zdobyczą ludzkości? Mozół wieków obrał jednakowoż fałszywą ścieżynę — nie mogącą doprowadzić do pozytywnych rezultatów, eksperymenty naśladowców Ikara... Chciano przydać człowiekowi skrzydła, na wzór wzbijającego się w przestworza skowronka lub rączo mknącej w powietrzu jaskółki — i to skrzydła poruszane siłą własnych mięśni. Mit słonecznej Hellady pozostał na jakże długo mitem tylko! Słońce właśnie zgotowało tragiczny koniec śmiałkom, co podniebnymi szlaki zapragnęli zakosztować wolności... Wosk stopniał, rozpadły się pióra skrzydeł, ludzkość miała nadal czołgać się w pyle ziemi... O, jakaż długa droga bohaterskich wysiłków wiedzie od owych zamierzchłych dziejów do dni krawczyka z Ulm — pokąd gruntowna, oparta na prawach fizyki nowych czasów wiedza, nie nadała właściwego kierunku próbom podboju eteru. Na podłożu dopiero takich technicznych studiów i doświadczeń mogły przyjść triumfy Mongolfierów, zdumiony świat zobaczył unoszący się w błękitach balon, tak powstał i udoskonalił się spadochron, zmalał glob dzięki samolotowi! A czyż „utopia" pływania w łodzi podwodnej nie przydała choćby takiemu Juliuszowi Verne'mu miana wielkiego fantasty? Ostatnie stulecie zrealizowało „nieosiągalny" pomysł „chorej wyobraźni"! Stare rysunki, kroniki czy też wykresy modelarskie obrazują owo rojenie „zapalnych głów" — rojenie nie wyszłe jednak aż do naszych godzin za brzeg kartonu czy stronice notatek. Wieleż arcyciekawych choć bezowocnych pomysłów miała za sobą nowoczesna podmorska łódź motorowa.

Stosunkowo bardzo szybko przeobraził się wynalazek maszyny parowej w silnik poruszający pojazdy wszelakiego rodzaju, starając się dobrodziejstwem doby współczesnej pod postacią kolejnictwa, jako środka komunikacyjno-transportowego o znaczeniu epokowym. Z początkowej szybkości 20—30 km na godzinę rozwinął się bieg żelaznych pociągów do 120 i więcej km/godz., a i ostatnie nawet „poprawki" w tym względzie nie wyczerpały pono wszystkich możliwości w osiągnięciu maximum dopuszczalnej prędkości. Najgwałtowniej rozwinęło się wszakże lotnictwo — dochodząc do istnych gigantów powietrznych ze słabych konstrukcyjnie i wątłych modeli „aerostatków". Nestor lotniczych sukcesów, Gustaw Lilienthal jest nawet nam współczesnym konstruktorem — bowiem za lat 5 przypadnie, gdy o ścisłość chodzi, setna rocznica jego urodzin. Lat temu trzydzieści — a lotnictwo było zaledwie, i to prawda, w powijakach. Ofiar wiele z życia i zdrowia położyli pionierzy powietrzni wokół przekształcenia „aeroplanu" w dzisiejszy samolot o tak bardzo różnorakich zadaniach, a ciągły jego rozwój pozwala przypuszczać niejedną jeszcze nowość w jego zastosowaniu i budowie. Dochodzimy do przekonania — gdy rzucimy okiem za siebie, że mianem senzacji oznaczać zwykliśmy to wszystko, co jest jeszcze nieznanym a tym samym podziw i ciekawość budzącym; po tym, gdy powszedni dzień obezna nas już z nadzwyczajnością i oswoi z „cudem", szybko zapominamy o entuzjazmie wczorajszym, zdaje się nam takie wszystko jasne i proste... Mijamy niedawny dziw obojętnie, niepomni własnych ledwo przebrzmiałych uniesień, bo... to już przecie takie zwykłe, oklepane, chociaż było fenomenem i snem z krainy bajki — ale tacy jesteśmy, tak było zawsze i chyba zawsze tak zostanie na świecie



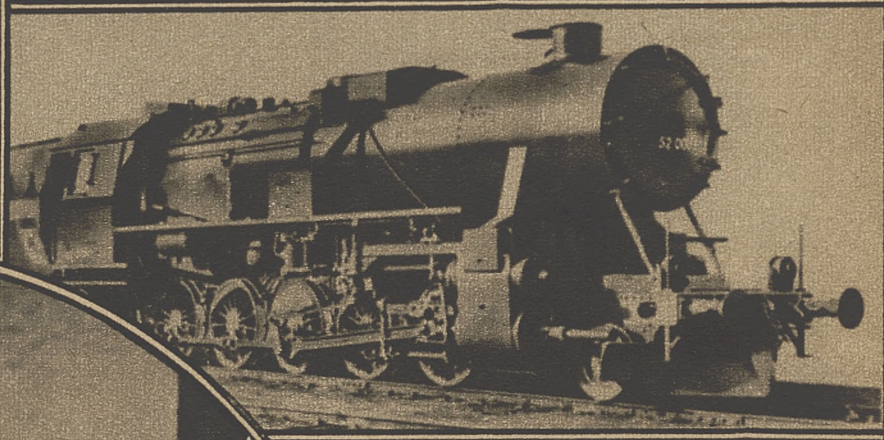
Na prawo: NOWOCZESNY SAMOLOT W LOCIE
Myśliwska maszyna obecnej doby, jakże różni się od pierwszych „aeromobilów" dawnych dni... Szybkość jej pobiła dawno wszelkie rekordy w naturze, a zapewne ani o czymś podobnym śnili zacni pionierzy lotnictwa . . .



Poniżej: NA KSZTAŁT NIETOPERZA . . .
Stary sztych uwidacznia wyobrażenie „latającego człowieka" w naiwnym choć nie pozbawionym ówcześnie najlepszej wiary ujęciu problemu. Ponad góry i doliny, miasta i sioła rzucił w przestwór śmiały rysownik upojną wizję człowieka-nietoperza — wizję, pozostałą w tej postaci bajką po dziś dzień . . .



Poniżej: TOŻ BYŁA DOPIERO SENZACJA!
Ognisty „rumak parowy" pierwszej kolei z roku 1835 na linii Norymberga—Fürth, powolutku c i ą g n ą ł sobie „spacerkiem" bryczki po szynach. Tyle wymagano wówczas od parowozu . . .



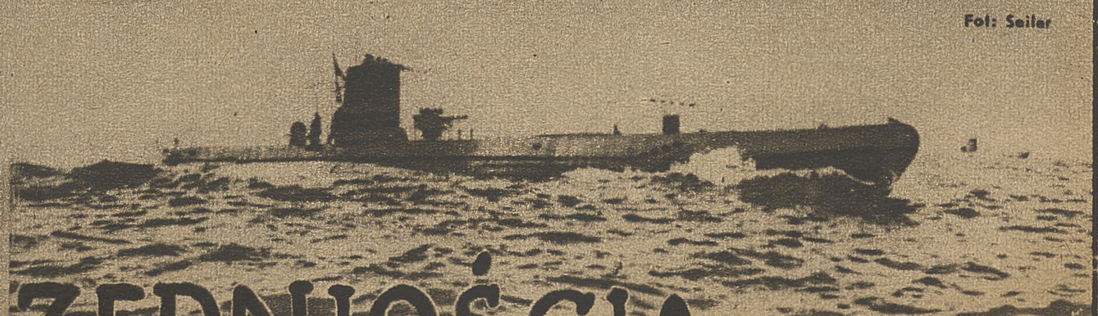
Poniżej: WSPÓŁCZESNY PAROWÓZ — OSTATNI W Y R A Z TECHNIKI.
O czymś podobnym nie marzono nawet 50 lat temu. Kolosalna wydajność pracy, wielka wytrzymałość, szlachetna linia — oto cechy parowozu doby naszej. Jak bardzo daleko odbiegł od swego pierwowzoru!



Na lewo: GUSTAW LILIENTHAL — NESTOR LOTNICTWA
Jak dalece trzymano się długi czas wzorów branych ze świata ptaków w usiławaniach podboju powietrza świadczy fakt, że jeden z zasłużonych badaczów-konstrukotrów, Gustaw Lilienthal — pozostał niestety tym właśnie wzorom wiernym aż do samej śmierci.



Poniżej: TO MIAŁA BYĆ... ŁÓDŹ PODWODNA
Pośród wielu pomysłów najudalniejszym był — jeżeli chodzi o istotę rzeczy, nie techniczne podejście do sprawy, — model z wieku 18-go zanurzonej pod wodę łodzi wiosłowej. Woda, jak i dzisiej, odgrywać miała rolę regulowanego w mierę potrzeby balastu — ale zbiornikami na nię były w fantazji twórcy pęcherze, ujścia których wpuszczano w podłogę, dno łodzi.



Poniżej: DZISIEJSZA BOJOWA ŁÓDŹ PODWODNA
Mknie pod falami jak i po powierzchni oceanu jednakowo sprawnie zrealizowany twór bajań Verne'go. Niby fantastyczny potwór morski wyłania się cicho z głębi toni i zapada w nie bezgłośnie. A czyż dawno jeszcze byłby ktoś uwierzył w możliwość „takich fantasmagoryj"?

Fot: Seiler

Taneczna Epopea

MIRIAM

Dokończenie

Nie, nie żałowała niczego, nie wolno jej żałować. Właśnie tak będzie dobrze, jak dawniej. Aktualne znów staną się wyniszczone kulisy (jak zimno!...), czerwona twarz Kańskiego (Boże, czy dziś jest znowu taki zły?). Maleńkie ich gniazdko u Madame Rose (...Hurra! Nuśka przyniosła papierosy!).

Henry się żegna. Przyrzeka, że dziś jeszcze, może nawet za godzinę przyjdzie z umową od Grudka. Żeby się tylko udało. Żeby tylko Mary zastanowiła się i zdecydowała poważnie, ostatecznie. Żeby znów nie zrywać kontraktu. A zobowiązanie będzie aż na przeciąg całego roku.

Nie, Mary nie rozmyśli się. Został jej tylko taniec. Tak, jak było zresztą zawsze przedtem. Ale nie u Grudka... Tam tańczą dziewczęta ze szkoły Mademoiselle Colette, takie niemiłe, wampirowate typy. Gdyby tak udało się u Toma Bricka we filmie razem z Nuśką...

W zacisznym buduarze gospodyni Mary nakręca na telefonicznej tarczy numer wielkiej hali Wortha, gdzie Tom Brick kręci film z tancerkami. Mała nadzieja... Tom Brick raz nawet zaprosił ją na kolację...

Gniewny, rykliwy głos· — Kto mówi? Mary? Jaka Mary? Znam całe tysiące, całe rzesze różnych Mary. Co pani chce? Czy pani nie wie, że jestem teraz wściekle zajęty? Do cholery z telefonem! Co? Engagement? Tylko pomywaczkę, suflera i speakerkę można angażować telefonicznie. Tancerkę muszę widzieć, dokładnie oglądnąć, psiakrew! Zrozumiano? Co?

Potem po drugiej stronie telefonicznego przewodu odezwał się zachrypnięty (chroniczne, po nieleczonym bronchicie), głosik Nuśki: — Mary! Ty? Niemożliwe! Co się stało, na Boga?

— Dlaczego według was wszystkich musiało się aż „coś stać", żebym wróciła do teatru? — głos Mary drży i łamie się — czyż nie możesz uwierzyć, że wróciłam z własnej i ogromnej ochoty. Z tęsknoty za tym trybem życia, tańcem, występami. Czy to takie dziwne?

— Wybacz, Mary... ale bardzo dziwne. Ja byłam zawsze głupsza od ciebie, ale myślę trzeźwo. Tyś nie mogła tęsknić. Ty nigdy nie żżyjesz się z teatrem. Ty jesteś taka inna. Nigdy nie „nasza". I kochałaś André...

— Ach, mówisz głupstwa, Nuśko! Tylko teatr kocham prawdziwie i znam to nasze życie i kocham, jak każda z was. Nie pamiętasz, że, gdy wmówiłyście we mnie jakieś zdolności pisarskie, zabrałam się do wielkiego dzieła do „Epopei Tanecznej", którym miałam olśnić wszystkich redaktorów wszelakich pism i ich czytelników. Miało to być wierne odbicie teatru, baletu i nas. Więc jakże mogłam być temu wszystkiemu obca?

— Ale widzisz, nie skończyłaś...

— Skończę. Na pewno. Wkrótce. I wiesz, Henry wyrobi miejsce u Grudka. Znów będziemy razem. Cieszysz się, Nuśko?

Głos z drugiej strony drutu zawahał się, a potem zabrzmiał prawdziwą troską: — Mary, powiesz mi, co się stało?

Nie, nie może mówić o tym, nie może myśleć nawet. Jest tancerką. Tancerek nie trzymają się myśli poważne, ani analizy przeżyć i wrażeń. Jest tancerką. Dla całego świata. Tylko tancerką. I także dla André (och, jak boli!...). I skończy swoją „Taneczną Epopeję". Z entuzjazmem i uczuciem dla teatru!...

— André to był kaprys, złudzenie (nieprawda, nieprawda?) trwające nawet niedługo, bo sama widzisz: pół roku. I już koniec. Zresztą to nieważne!... (nieprawda, nieprawda!...) A co u was, Nuśko? O tobie już wiem od Henry'ego. A Iśka? Nie mieszka już z tobą, prawda?

— Ach, biedna Iśka. Była zawsze chora na płuca, wiesz o tym. Śmiała się, gdy mówiono z nią o tym poważnie. Zawsze się śmiała, maleńki, złotowłosy trzpiot. I umarła tak cicho. Martwiła się jeszcze, że Stomphson będzie zły, bo do terminu rozwiązania kontraktu było jeszcze daleko. Dostała krwotoku po rewii. Mieszkam teraz z jedną bardzo ładną blondynką Ellen. Wiesz niesympatyczna. Na szczęście rzadko jest w domu. Stale na jakichś kolacyjkach, przyjęciach, nocnych zabawach. Zresztą, czy ja wiem, gdzie się włóczy?... A stary Henry martwi się, bo to właśnie najnowsza jego i całkiem na serio miłość... Och Mary ,muszę kończyć. Znów powtarzamy po raz setny chyba już dzisiaj jeden fragment. Coś nie idzie a raczej coraz gorzej idzie. Do zobaczenia, Mary. Wrócę może koło jedenastej. Najprędzej. Co będziesz robić?

— Zaglądnę do swojej „Epopei"... Do widzenia, Nuśko!

„Taneczna Epopea" nieskończona, przerwana nieoczekiwanie, zapomniana: Z perspektywy znajomości z André teatr, czy taniec nie wydawał się wart żadnej epopei — wspomnienia nawet... Czyżby dawniej kochała teatr, balet naprawdę? A jednak rzuciła to wszystko dla jednego mężczyzny, dla André. Co było zakłamaniem — a co prawdą?...

Szary, taniutki zeszyt, oprawiony w nuty przeboju ostatniej ich rewii. Niedużo zapisanych stronnic, ale zapisanych śmiało, rewolucyjnie, trzeźwo:

„Są epopeje narodów, krajów, są epopeje epok. Odźwierciedlenia całokształtu życia w naznaczonej płaszczyźnie z najbardziej dokładnymi i istotnymi cechami. Można stworzyć epopeję tańca w teatrze. Może nieważną, może niepotrzebną — ale tym niemniej epopeję. Ale trzeba umieć wniknąć w najdrobniejsze tajniki teatru, trzeba ukochać go serdecznie i oddać mu się całą duszą, całą sobą — jak ja, by stworzyć o nim dzieło wielkie, prawdziwe, nigdy niezapomniane..."

I dalej: — „Epopeję o tańcu pisze się inaczej. I technikę pióra dostosować trzeba do tematu, do charakteru rzeczy pisanej. Zebrany materiał podawać się będzie w zwykłych, normalnych zdaniach — i innych, zamkniętych w nawiasach. Bo teatr ma jakby dwie istoty, dwie sfery: wrażeń widza — i sferę wewnętrznych przeżyć tych, co tamte wywołują. Inaczej jest z pozoru, inaczej jest w istocie. Scena to blichtr, to fałsz, taniec — to włożona maska. To jest ten urok, co zniewala, co każe kochać tę właśnie prawdę o teatrze. Teatr to wielka szafa z kostiumami, różnobarwnymi, bogatymi w świetle reflektorów (tandeta brudna i zużyta — gdy szuka w nich swego ubioru mała girlsa). Teatr to wspaniała i lśniąca (fałszywa) biżuteria statystek, to uśmiechnięta życzliwie i sztucznie twarz inspicjenta na bankiecie po premierze..."

A potem zaczyna się epopeja. Forma pamiętnika małej baletniczki, jako forma, mogąca przemówić najbardziej bezpośrednio i przekonywująco. Tekst najeżony owymi dziwnymi nawiasami, w których czyta się ową prawdę żywą, istotną, choć najczęściej gorzką, jak piołun, odrażającą nierzadziej — emocjonującą i jedyną dla ludzi teatru.

„Jestem artystką z zespołu Stomphsona. W każdym razie on sam powiedział, że nią na pewno będę (... której tancerce tego nie mówił, angażując ją za sto dwadzieścia złotych miesięcznie...)..."

A potem jest o wszystkim: o kwiatach po każdym występie (za kwoty, odciągane z gaży) o wielbicielach talentu (kolacyjki w małym barze z łysawym radcą), o optymistycznych spojrzeniach w przyszłość (potrafi się już przez trzy dni z rzędu obchodzić bez obiadów), o aksamitnym współżyciu z koleżankami (...żeby były tylko głupie, ale one są przy tym zawistne!) o przejściu do zespołu Grudka po rozwiązaniu się kontraktu z Stomphsonem (Stomphson „położył" jedną rewię i kasa była pusta, a Grudek zaproponował girlsom z teatru konkurenta o pół franka więcej tygodniowo) etc. etc.

Tupet, rozmach, znajomość tematu i nade wszystko porywający entuzjazm.

I ostatnia z zapisanych stronic: pod datą z maja małe zdanie, na którym kończy się epopeja: „Poznałam André".

Potem już nic. Tamto zostało zarzucone, zaniedbane. Nieważne. André... Był tylko André.

Poznali się, jak wiele par: na zadeszczonych ulicach Brenox:

— Madame, czy nie będę zdawał się zbyt śmiałym, gdy zaproponuję pani odwiezienie jej moim autem?

To było to samo auto, co dwie noce temu zniknęło sprzed jej załzawionych oczu na skręcie ulicy Cachée i de Philippe.

Spotykali się często. Zawsze wczesnym popołudniem, choć tak ślicznie prosił o wspólny wieczór, w którymś z wykwintnych lokali śródmieścia. Mary miała nocne występy w „Casino de Nuit". Nie mogła zaprosić go także do siebie na herbatkę. To wspolne, brzydkie mieszkanko i podejrzliwość Madame Rose!... Był taki czuły, dbały o nią. Słysząc o jej sercowych niedomogach, sam zaprowadził ją do doktora. Drobiazgowo przestrzegał przepisów kuracji i martwił się, że serce było zmęczone nadal. Nie powiedziała mu o właściwej tego przyczynie. Nie mówiła mu o sobie nic. Chciała uchodzić za beztroską studentkę. Nie chciała wyobrażać sobie, jak długo to się jej będzie udawać, ale postanowiła nie przyznać się nigdy pięknemu znajomemu, kim jest i że tańczy w rewiach. To byłoby fatalnym, ostatecznym zakończeniem znajomości z André Viennant, inżynierem firmy Morcont i Ska w Brenox.

Zbieg okoliczności· szary, poczciwy Citroen zatrzymuje się tuż przed drzwiami „Casino de Nuit".

— Hallo, Mary, dokąd spieszysz?

Nieprzytomnie tłuka się w niej jedna tylko myśl, że się spóźni, że Kański...

— Sama? — podniósł ze zdziwieniem brwi, gdy szarpnęła desperacko drzwi do nocnego lokalu.

— Tańczę tutaj w rewii — padło wyznanie, gdy serce przestawało bić, a nogi mdlały. Weszła w wahadłowe drzwi, nie pożegnawszy się, nie skinąwszy nawet głową, jak lunatyczka. Skamieniała w przerażeniu, w niemej rozpaczy. ...Jak ona tańczyła tej nocy?...

Gdy wracała, Citroen stał jeszcze przed wejściem. André z uśmiechem otworzył drzwiczki: — Może dziś zaprosisz mię do siebie na herbatkę? Zmarzłem, czekając —

Nie wykrztusiła chyba żadnego słowa. Nie mówiła także nic, gdy siedział naprzeciw niej, na wytartej kanapce w ich biednym pokoiku i pił cieńką herbatę z cukrem, pożyczonym od Madame Rose.

Miał nieodgadniony wyraz twarzy, gdy bawił się woreczkiem z jej baletowymi pantoflami: — Nie pozwolę, żeby to zniszczyło naszą miłość — powiedział wreszcie, nie patrząc na nią — dosyć, że zniszczyłaś, zmęczyłaś swoje małe serce i w ogóle zdrowie. Ale to da się naprawić. Zniszczyła się także może twoja opinia w świecie, ale to jest dla mnie bez znaczenia. Te biedne pantofle zniszczyłaś również i tego już nie da się naprawić. —

Wspaniałym gestem psotnika wrzucił w płonący kominek zniszczone baletki. I jak gdyby razem z nimi całą jej teatralną przeszłość... Gdy pożerał je ogień, odetchnął szeroko i dopiero spojrzał dziewczynie w oczy: — Czy chcesz zostać moją żoną? —

Nie występowała już ani razu od tego wieczoru. André machnął ręką, gdy przedstawiała mu konieczność dotrzymania zobowiązań kontraktu z zespołem Grudka. — To, co mam, wystarczy na odszkodowanie dla tego pana. —

Dziś wiedziała, że Grudek wyzyskał sytuację i André wypłacił mu okrągłe dwa tysiące za jej uwolnienie.

Cichy ślub w kościółku św. Katarzyny. A potem zaraz Viennant powołany do miasteczka w Pelligue, jako kierowniczy inżynier zakładów Cnoxa. Wyjazd i pełne szczęście w willi w Pelligue. Zupełne zapomnienie o tym, co było przedtem. Czasem małe ataki sercowe sprowadzały myśl o ich genezie. Leczyła ją natychmiast i skutecznie myśl o tym, że wygrała największy los w loterii życia.

Skończyło się bezpowrotnie. Za godzinę przyjdzie Henry ze wznowionym kontraktem do Grudka. André może nawet nie wie, że opuściła Pelligue. Nie przypuszcza na pewno, jaką powzięła decyzję...

Dlaczego Madame Rose chodzi tak jednostajnie do swoim pokoju? Tak samo nerwowo, a jednak rozpaczliwie miarowo rozlegały się kroki André w jego gabinecie w ten feralny wieczór. Takie same szło echo niepokojące, złowrogie.

André nie mógł się uspokoić, zrozumieć, przebaczyć. Nie przyszedł do niej, nie otworzył ramion, nie przytulił... Wziął maszynę z garażu i odjechał w noc. W południe odjechała ona. Na zawsze.

Ten wieczór. Wypiła za dużo... (...może szczęście było za wielkie i ono, a nie burgund uderzyło do głowy?). Ona, tak taktowna i trochę zawsze onieśmielona wobec znakomitych gości André... Drażniła ją ta dama w ponsowej sukni przy André. Dlaczego przy kolacji siedziała przy panu domu? Uniwersytecka znajomość z kursu? Ten prowokujący, czerwony pąk róży przy gorsie tamtej kobiety. Mary wiedziała, że jest pijana i, że nienawidzi pani w ponsowej sukni. Tamta przerwała intymną jakąś — jakże dla Mary drażniącą — rozmowę z André i zwróciła się do niej z niejasnym: — Pani nam coś o tym powie. Pani zdaje się zna doskonale nocne lokale w Brenox i w Paryżu?

Dlaczego nie opanowała się i nie odpowiedziała uprzejmie? Od razu już podejrzenie skrystalizowało się w pewność: André był tak niedelikatny, nietaktowny, że opowiedział o jej występach swej towarzyszce. Dlaczego to zrobił? Dlaczego właśnie tej niesympatycznej kobiecie?

Przypomnienie kabaretu wywołało u Mary ową drugą „ja", baletnicę z „Casino de Nuit", rozpychającą się w życiu łokciami, gruboskórną, wyzywającą. Zaczął się skandal. Ordynarne wyzwanie dla niedyskretnej damy z czerwoną różą, bezczelna kokieteria dla wszystkich obecnych mężczyzn, słowa ironii i kpin dla André, śledzącego ją pobladłymi oczyma. André, skompromitowany w oczach opinii przez własną żonę. Widoczne wycofywanie się zaskoczonych gości — podnieciło ją tylko. Zmusiła, by zostali, by pili, by pili jej zdrowie i jej tanecznej przeszłości, wszystkich koleżanek z zespołu po kolei. By wysłuchali, co ma do powiedzenia o swym ustosunkowaniu się do pani w ponsowej sukni. Powiedziała dosadnie, jak aktorka, jak mówią ludzie z teatru. I piła...

Ta cisza, gdy goście wyszli, potłuczone szkła, niewypróżnione talerze, zalękniona służba. Paskudny szum w uszach i szalone, straszne w tempie bicie serca otrzeźwiło ją. Tętno nie uspakajało się, potęgowało raczej. A przy tym niesmak, wstręt do samej siebie, do tego, co zrobiła. Strach upiorny przed bladą, skurczoną twarzą André.

Był spokojny. Zanadto spokojny. Jak ten człowiek umiał się opanowywać!

Wychylił do dna głęboki kieliszek najsilniejszej z wódek:

— Widzisz... nie w każdej sytuacji można popisywać się, że się jest... tancerką!

Tyle miał jej do powiedzenia. Że jest tancerką. Ona była nią zawsze. Minione lata przemówiły. Jak on ją zdruzgotał tym słowem. Nie wymawiał go dotychczas nigdy w odniesieniu do niej. Ton, z jakim go wymówił!... Tancerka...

Że serce jej wytrzymało? Bo jej domowy lekarz zalecał zawsze unikać wszelakich wzruszeń. Najmniejszych. Że może przyjść atak i może być śmiertelny...

Znalazła tyle sił, by jechać zaraz rano. André nie wrócił. Nie zostawiła mu ani słowa wyjaśnienia. Ale to rozumie się samo przez się: Tancerka wraca na swoje właściwe miejsce.

Z tym stanem jej serca, to chyba przesada. Przecież to nie może być przeszkodą... Jej nie wolno teraz chorować, myśleć nawet o chorobie. Rozpaczliwą tą myśl podsyciło wrażenie przykrego niepokoju w okolicy serca. Czyżby atak? Zawsze w razach niedyspozycji szukała pokrzepienia, pomocy i znajdowała je zawsze w silnych ramionach André.

Żeby był przy niej! Żeby powiedział choć jedno słowo. Mieć chociaż świadomość, że zapomniał, wybaczył i nie czuje do niej żalu!...

Znów jest w ruchu tarcza aparatu telefonicznego:

— Pelligue 147? Łączę...—

— Czy pan w domu? Czy wrócił wczoraj? —

— Wrócił — Mary poznaje od razu głos kuzyna, Wiktora — ale wyjechał zaraz znowu. Samochodem. Gdzie? Do Brenox, po małżonkę. Kto mówi? —

— Jakto: Po małżonkę? Wiktor, mów jaśniej! Tutaj ja, Mary. Skąd wziąłeś się w Pelligue?

— To ty, Mary? Jestem w przejeździe do Lilles. Podobno przyjechałem bezpośrednio po twoim wyjeździe wczoraj. Co u was się dzieje? Pytasz o André?

— André nie mówił ci nic?

— Nie miał czasu. Przyjechał wieczorem wczoraj. Nie chcę cię martwić, ale nie wyglądał dobrze. Nie mówię już o stanie auta. Nie wyobrażam sobie, po jakich wertepach prowadził nocą maszynę. Gdzie on tak sam się włóczył? Powtarzam pytanie: co się u was dzieje?

— Wiktorze, później wytłumaczę... A André nie ma teraz w domu?

— Powiadam ci, wrócił wczoraj, pierwsze pytanie o ciebie, nie wysiadał nawet, kazał sobie tylko dociągnąć benzynę do zbiornika i pojechał —

— Nie mówił ci, gdzie?

— Powtórzę ci dosłownie, co powiedział. Nawet nie wiem czy na pewno do mnie, bo nie przywitał się nawet, jakby nie zauważył mojej obecności. Powiedział: „Jadę do Brenox. Muszę zdążyć na czas, przeszkodzić Mary w zrobieniu głupstwa". Znowu cię pytam Mary, o co chodzi? Nic nie rozumiem. Czy dzwonisz naprawdę z Brenox? —

Nie odpowiedziała nawet.

André był w drodze do niej. Dlaczego pomyślał od razu o Brenox, mieście jej niewybrednej przeszłości? Domyślił się zaraz, co zamierza zrobić. Jej decyzję uważa za głupstwo! Jej teatralne, przebrzmiałe ambicje uważał za nic zawsze.

Teatr? Kontrakt? Rezygnować z André, ze szczęścia, marzeń o miłości i...

I teraz wie: kłamała, gdy mówiła, że zżyła się z teatrem, że kocha ten tryb życia, że tęskniła za nim. To bluff rozpaczy, niewytłumaczonej ambicji, kłamstwo chwili.

Nie będzie potrafiła się zmusić do stanięcia przed widzami na czubkach point w jaskrawych światłach scenicznych. Nie, teatr nie da szczęścia i chyba nie wierzyła serio nigdy, że dać je może. Nie, zostało nic z entuzjazmu. Był zakłamaniem tylko. Tęsknota, tęsknota... André... André!...

Słyszy, że ktoś idzie po schodach. Wie, że ktoś do niej, boi się dowiedzieć, otworzyć mu drzwi.

Dzwonek.

...André? A jeżeli Henry z kontraktem od Grudka? Za chwilę może szczęście odejść na zawsze.

W oczach zamazują się kontury znanego wnętrza. Wszystko zachodzi za mgłę. Nawet myśli. Uwaga koncentruje się jedynie na wrażeniu piekielnego bólu... Nie skończy nigdy swojej epopei. Nie zechce... Nie będzie mogła?...

To był właśnie koniec dziwnej... (może tragicznej) „Tanecznej Epopei".

Z ESTRADY

ONCERT M. CZYŻEKOWEJ I J. GACZKA

Jest oznaką prawdziwej odwagi urządzać ziś koncert w całości poświęcony utworom a dwa fortepiany. W pierwszym rzędzie skutek olbrzymich trudności, złączonych e zdobyciem dwóch odpowiednich fortepiaów, zbliżających się do granic jakiej takiej oskonałości, pod względem dźwiękowym strojowym. Oczywiście nie jest znowu rzezą tak łatwą i przygotować kilka czy kilkaaście utworów — przygotować należycie — y przecie miały pewne wybitniejsze cechy rtyzmu. Bo dawać audytorium, chociażby głównym trzonie złożonemu z młodzieży, twory odtwórczo nie stojące na wysokim oziomie artystycznym, znaczy to — zrażać obie słuchaczy.

Dwójka koncertantów ostatniego sobotiego koncertu w Błękitnej Sali — Mieczyława Czyżekowa i Jerzy Gaczek — miała użo dobrej woli i chęci pokonania nastręzających się trudności, jako że posiada stynkt muzyczny orientowania się w rzezywistej rzeczywistości.

Obydwa zdobyte fortepiany — mamy wraenie — do idealnych zaliczyć nie można. eśli do tego dołącza się nieidealna akustyka ali Błękitnej, ogólne wrażenie nie może lairować w sferach idealnej doskonałości. rogram koncertu niezbyt obfity — nieprzeiążony, ale i niewiążący zbytnio uwagi, właszcza druga część chyba obliczona główie na młodzież.

Bacha Koncert c-moll i Schumanna Anante z wariacjami robiły wrażenie zbyt popiesznie przygotowanych, dość płytko reytowanych, acz Czyżekowa w pewnych iejscach (Adagio Koncertu) wikłała uwagę mal nienaganną interpretacją. Najlepiej ypadło Chopina Rondo C-dur, które naewno można było jeszcze nieco pogłębić, adać mu pewną dozę polotu.

Wykonawcy koncertu na cele R. G. O. Na zdjęciu od lewej stoją: Władysław Wochniak, Wacław Geiger, Antoni Wolak. Siedzą: Irena Lewińska i Krystyna Roesner.

Fot. Borek



W drugiej części koncertu Webera „Zaproszenie do tańca" nie grzeszyło rozmachem, brawurą i wdziękiem i co do poprawności tu i ówdzie pozostawiało coś niecoś do życzenia. Odegrane raz wtóry po wyczerpaniu programu na bis otrzymało doskonałą formę odtwórczą i dało do poznania, że koncertantów stać było na większą sumę wysiłków. Webera „Polacca brillante" wymagało miejscami żywszego, rytmiczniejszego tempa, Walce Brahmsa wypadły dość blado. Zresztą jeśli się na koncercie gra utwory znane, popularne, to trzeba wlać w nie dużą dozę prawdziwego talentu, by głębsze wrażenie wywarły. Dworzaka „Taniec słowiański" op. 72 Nr. 1 brzmiał dobrze i poprawnie.

Życzliwe audytorium oklaskiwało koncertantów i ofiarowało im kilka wiązanek kwiatów.

KONCERT NA R. G. O.

Czwórka koncertantów — Wochniak, Lewińska, Roesner, Wolak — przeważnie już dobrze znanych z estradowych występów, dawała z góry gwarancję, że poziom artystyczny koncertu w Błękitnej Sali będzie dostatecznie wysoki i da słuchaczom dużą dozę wnętrznych emocyj. I w rzeczywistości nie zawiodła pokładanych nadziei. To, czym nas obdarzyła na koncercie, wzbijało się na wyżyny prawdziwego artyzmu, w którym piękno muzyczne, otrzymując stosowny wyraz odtwórczy, wciska się w głębie duszy, powodując pewne oderwanie myśli od przyziemności.

Wolak (baryton) — uwzględniamy kolejność programu — rozmaitością programu dał dowód giętkości, pewnej wszechstronności swego talentu odtwórczego, oczywiście grawitującego silnie, nawet wyłącznie ku dramatyce. Bardzo ładne głosowo momenty miał w arii z opery Diaza Benvenuto Cellini. Cavatinę z Cyrulika Sewilskiego cechowała znaczna brawura. Aria ze Strasznego Dworu dopraszała się więcej werwy i „duszy" poloneza.

Pianistka Roesner posiada doskonałą technikę, uderzenie gdzie zachodzi potrzeba, dość miękkie, omal jedwabiste, i główna rzecz — doskonałe wyczucie fortepianu. Chopina Etiuda Cis-moll, Verdi-Liszta Rigoletto wybiły się na pierwszy plan i doskonałym opanowaniem i doskonałym wczuciem się.

Wochniak, naszym zdaniem najlepszy skrzypek-artysta krakowski, wspaniałą wprost techniką, sumiennością i pracowitością odtwórczą, która nie urania żadnego dźwięku, i przede wszystkim głębią umie oddziaływać na słuchaczy, umie ich wprost sugestionować. Rondo c-dur Mozarta, pełne błyskotliwości, otrzymało tak wspaniałą interpretację, że trudno, a może nawet niemożliwą jest rzeczą, jej coś zarzucić. Również wspaniale wypadły Szymanowskiego „Pieśń Roxany" i Zarzyckiego „Mazurek".

Lewińska reprezentowała się jako doskonała estradowa śpiewaczka. Sopran jej wspaniale postawiony, równy w całej skali, pozwalający na bezwysiłkowe żonglowanie, posiada miłe zabarwienie i stosunkowo znaczną siłę. Dykcja bardzo dobra, ale tylko w języku polskim (gorsza we włoskim). Dusza widocznie o wysokim subtelnym poczuciu artyzmu i głębi. Repertuar odbiega, co należy poczytać za wielkie plus, od zwykłości programowych ustawicznie odtwarzanych na estradach i jaśnieje tchnieniem nowości. Bezsprzecznie najlepiej wypadły Szymanowskiego (kurpiowskie) piosenki „Lecą żórawie" i „U jeziorecka". Lewińska wyposażyła je po prostu w pewien czar, wdzięk odtwórczy, dobywając wszelkie momenty piękna. Tę samą precyzję odtwórczą miała „Pieśń sieroty" z Lilij Szopskiego czy Szuberta „Gretchen am Spinnrade."

Geiger jako akompaniator starał się utrzymać na poziomie. Zwłaszcza w trudnych pieśniach Szymanowskiego oraz Rondzie Mozarta, — wymagającym dużej dozy wyczucia rytmu — spisał się całkiem poprawnie.

Koncert jak wspomnieliśmy utrzymany był na wysokim poziomie artystycznym. Pewnym dysonansem, obniżającym poziom, było odśpiewanie na bis popularnej piosnki Geigera „Odwieczna pieśń", której tak słowa jak i muzyka nie stąpają w wysokich koturnach twórczych.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Pilsudskiego 19 tel. 353-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 220-61 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



Apoteoza wstrzemięźliwości

WACŁAW KWIATKOWSKI

Na imię miał Marcin, — wiadomo, św. Marcin zimę przywozi. Nazwisko miał jeszcze zimniejsze. Sam się śmiał z tego:

— Jestem Lodowaty. Naprawdę, tak się złożyło. Mój ojciec był Lodowaty, a mama też była Lodowata, więc i ja Lodowaty na świat przyszedłem.

Nie krył się też i z tym, że pije.

— Ludzie mówią — gadał w jednego z ziemian, — że działam zamrażająco. Wystarczy, podobno, bym przez trzy dni z rzędu wódki nie pił, a zaraz deszcz w grad się ścina, choćby w same żniwa. Ja nie wiem, czy ludzie nie przesadzają, gdyż przez litość nad światem nigdy jeszcze trzy dni pod rząd trzeźwy nie byłem, ale to wiem, że tylko wtedy krew we mnie taje i krąży mi w żyłach należycie, gdy przełknę coś rozgrzewającego.

Z zawodu był artystą malarzem. Bóg tylko wie, co go do naszej małej mieściny przygnało. Może wypędziła go z większych ośrodków, właściwa im nietolerancja wobec dziatwy Apollina? Bo to bujda na resorach, że tylko właśnie w wielkim środowisku ma artysta twórczą swobodę i może być sobą. To kpiny ze zdrowego rozsądku! Wystarczy by w wielkim mieście malarz zalał się w pestkę i w tym stanie jakikolwiek, choćby najniewinniejszy eksces uczynił, a wędruje tam na komisariat tak samiutko, jak pijany szewc czy gołębiarz. Tylko w małym mieście, gdzie wyjątkowo przytrafi się jedna jedyna dusza artystyczna, sprawiedliwość stać na sztukę stosowaną przymykania lewego oka nawet i wtedy, gdy indywidualność za daleko ową duszę ponosi.

Na przykład już w pierwszym tygodniu po przyjeździe, wyszedł sobie nasz Lodowaty z szynku, zobaczył stojące bez stangreta ładne dworskie konie, wgramolił się na kozioł, zaciął je batem i naturalnie, kiedy cuganty ostro ruszyły, zleciał w tył do powozu. Stangret wybiega z apteki, goni za końmi przez rynek, gubi proszki i flaszki ale powóz już daleko. Wybiega też od księdza szambelana właściciel, hrabia z Górki i pyta, co i jak. Myślicie, że się co stało? Tyle tylko, że miasto się śmiało, a i pan hrabia też, i że dorożką do domu wrócił, i malarza, którego mu konie pod stajnię przywiozły, u siebie przez dwa dni trzymał i portret sobie u niego zamówił.

Kiedy indziej było gorzej. Lodowaty pod gazem wylazł na wieżę kościelną, z niej na dach kolegiaty, na czworakach dopełzł aż pod sygnaturkę, tam okrakiem siadł sobie wygodnie na szczycie, oparł się o wieżyczkę plecami i wielkim głosem zapowiedział nam w dole, że będzie tam nocował. I znów nie stało się nic. Tyle, że się ludzie zakładali, czy zleci, czy nie zleci i na sto sposobów próbowali zwabić go na dół. Wreszcie ksiądz wpadł na pomysł, aby mu pokazać butelkę wina i zaprosić go na nie na plebanię.

Albo razu pewnego późną nocą krzyk: „Gore" i dzwon alarmowy! Wybiegamy na pół ubrani, pędzi straż. Lodowaty, bo on to był, tłumaczy, że naprawdę mu gore w gardle, że pali go pragnienie, a szynki pozamykane. Czy to ludzka rzecz, aby w cywilizo-



wanej Europie, wśród nas chrześcijan, milczkiem umierał z pragnienia? Znowu skończyło się na śmiechu i na tym, że pan naczelnik straży na własny koszt z własnych zapasów pragnienia malarza gasił do rana. A i nasze, bo po tej hecy nie opłacało już się kłaść spać. Już nie daleko było do świtu.

Tak było niejeden raz, bo Lodowaty co parę dni coś nowego wypłatał. I dziwna rzecz nie tylko ludziska mu tych jego kawałów za złe nie brali, ale właśnie za nie coraz go wyżej sobie cenili. Nie tylko dlatego, że w naszym solidnym, poważnym, zapracowanym miasteczku; gdzie nawet kina nie było, wdzięcznym sercem przyjmowano każde bezpłatne urozmaicenie, ale i dla tego, że wieść o każdym nowym pijackim kawale Lodowatego natychmiast pocztą pantoflową szeroko w świat szła i że z tuzin sąsiednich, takich jak nasze, miasteczek, w których jednak nigdy malarz prawdziwy nie mieszkał, zieleniał z zazdrości. A i dla Lodowatego samego kawały były świetną reklamą. Gdyby nie pił, któżby o nim co wiedział? A tak sypały się zamówienia i z miasta i ze wsi, często nawet z daleka. Na sztuce nie każdy się zna, lecz nawet laik rozumie, że nie lada sztuka wypić pół litra spirytusu duszkiem. Albo wódkę pić kuflem od piwa. A Lodowatego stać było też na inne sztuki, których by nie potrafił nikt, nawet Matejko.

Czy Lodowaty malował dobrze, to pytanie. Gdzie na dnie, siedział w tym nieszczęśniku malarz rasowy, tliło w nim umiłowanie sztuki wielkie, czaił się talent prawdziwy, ale na codzień, na codzień nie żył Marcinek po to, żeby malował. Przeciwnie, żył i malował po to, żeby pić.

Zamówień miał zawsze dużo i zarabiać mógł znakomicie, jednak w praktyce wegetował u nas licho, mimo wszystkich swych portretów. Nie, żeby taksę wyznaczał niską. Była ona na swój sposób wysoka — żądał zwrotu ceny blajtram i płótna, ryczałtu na farby i pół litry wódki za każdy kwadrans pracy. A malował pomału. Gdy był trzeźwy minutę albo dwie patrzył, potem przez trzy minuty mieszał farbę, by wreszcie nieśmiało nałożyć jedną małą plamkę miękkim pędzelkiem. Lizał aż strach, dłubał na chłodno, podpierając się co chwila chłodnym rozsądkiem. Mówił mu on, że pani aptekarzowej należy zrobić oczy dużo większe niż je ma, a zmarszczek i lat znacznie mniej, bo gdyby się chciała mieć taką jaką jest, zamówiła by sobie portret u fotografa, nie u malarza. W teorii mógł był zarobić w ciągu sześciu godzin pracy codziennie równowartość dwunastu litrówek wyborowej, ale wróćmy do praktyki. Otóż w rzeczywistości, gdy tylko litr wódki miał, pędzle odkładał, a gdy już zaczął pić, nie warto mu było picia przerywać. Pił więc dalej, najpierw za pieniądze przeznaczone na farby, a potem za forsę tych, którzy z nim pili. Rano budził się bez grosza, obywał się bez śniadania i po dwu lub trzech kwadransach pracy powtarzało się znowu to samo. Jedynie w wyjątkowych, rzadkich wypadkach, trzy, cztery razy do roku, gdy był wyjątkowo wstawiony opanowywał go w podchmieleniu szał twórczy. Ach, wtedy! Wtedy nie myślał, nie kalkulował, nie lizał, nie mędrkował, lecz gorączkowo, szeroko, śmiało rzucał farby na farby. Były to farby te same, na codzień używane, lecz oto zaczynały płonąć całkiem innym blaskiem, wiązać się w gamy niewidywanych na codzień tęcz, łamały się, wnikały w siebie, by nagle wybuchnąć pełną barwą, potężniejącą przez nieoczekiwany kontrast aż, zdawałoby się, poza granicę przyrodzonej możliwości. Zaś z barw tych wyłaniał się kształt, wizją tak intensywną, że trudno było odeń oczu oderwać. Kształt ten bił widza po łbie uczuciem, zmuszał go do smutku czy wesela, szarpał mu duszę, i wiódł ją po niewoli na wyże, o jakich nigdy nie śniła. To nie prawda by tylko muzyk umiał wygrywać swe uczucia — malarz potrafi też nie gorzej wygrać to, co go cieszy i boli.

W takim wyjątkowym dniu, jeżeli się zdarzał w ogóle, w kilka godzin rodził się u Lodowatego już nie chłodny poprawny kicz, ale obraz mistrzowskiej klasy, a rodził się jedynie po to, by, kiedy ten czy ów z nas cudo to kupił, jego twórca mógł przez kilka dobrych dni pić bez opamiętania.

I wtedy też pił, dopóki mu groszy starczyło. To też z jego farbami zaczynało być niedobrze.

Przyjechał do nas jakimś cudem z bogato zaopatrzoną kasetą. Ugry, czerwienie, błękity takie owakie. Na przykład mógłby kto myśleć że kolor cytrynowy jest jeden. Ani się śni! Jest kadmuim cytrynowe i jest chrom cytrynowy, jest żółta cynkowa, a ultramaryna żółta także jest cytrynowa. Również cytrynową jest żółta stonziano i jeszcze kilka farb, których nazwy znają tylko malarze. Napozór wszystkie jednakusieńkie, lecz każda z nich daje inne możliwości. Otóż Lodowaty zjawił się u nas z całym tym artystycznym kramem.

Po pół roku ilość tub znacznie się zmiejszyła. Nie miał już ani cynobni, ani karminu, ani błękitnej ultramaryny, lecz miał inne farby, którymi łatał braki. Potem w maju brakło mu zieleni. — To nic, ja sobie zieleń zrobię — mówił ,mieszając kadmium z błękitem pruskim. Ale w sierpniu skończyły mu się też i ugry, a potem i żółtych farb resztki wnet przyciskał i kiedy przyszła złota jesień ze złością gębę odwracał od żółkniejących lip, winogron i kasztanów. Coraz częściej upijał się odtąd na smutno.

— Wam się dobrze śmiać — mówił do nas, — ale nie mnie. Wy dziękujcie Panu Bogu, że wam stworzył taki kolorowy świat. Ale ja — ja jestem jak muzyk, który grać musi na zrujnowanym fortepianie.

— Przecie nie malujecie, mistrzu, pejzaży.

Spojrzał na mnie i nic nie odpowiedział. Dopiero po miesiącu raczył powrócić przy jakiejś okazji znowu do tego tematu.

— Pytacie, czemu mam smętny pysk, profesorze? Żebym pysk miał taki smutny, jaka nieszczęśliwa jest moja dusza, kiszki by wam wszystkim pokręciło. Diabli przynieśli tu tę panią Irenę.

Pani Irena, świeżo przeniesiona do nas nauczycielka, była jak promień słońca. Rozkosz było na nią patrzeć.

— Cóż chcecie, mistrzu? Cudo, a nie kobieta!

Skrzywił się siarczyście.

— Cudo, cudo, cudo! Cudo, mówicie? Nie cudo, lecz arcycudo! Ja byłem w Paryżu, w Warszawie, ja się na babach znam. To nie kobieta, to żywa, czarująca pokusa!

Nalał sobie wódki:

— Od małego paluszka u nóżki aż po brew nie baba, lecz doskonałość, to ja wam mówię! Ja się na anatomii znam. Psiakrew, nie ma w niej skazy. Łydka, ramię, oczko, a nawet pierś, pierś która u większości tak zwanych ładnych kobiet, bywa kulawa! Ale nie u niej! A widzieliście jej włosy? Widzieliście jak się mienią wszystkimi odcieniami złota. A cóż dopiero jej skóra, skóra! Ciało jędrne, delikatne, gładziutkie, soczyste, ileż to tam różu, błękitu, złota! Panie Boże, ją wymalować, a zdystansuję Tycjana . . .

— To wymalujcie . . .

— Głupiście! Wymalowałbym choćby z fantazji, ale mam już w kasecie tylko czerń z winorośli, róż angielski oraz indygo. Resztę lazuru żółtego wyszło mi na tę przeklętą



pannę Krysię, apostołkę wstrzemięźliwości. Wymalujcie wy słońce motyką! Nie ma co, albo zamknąć budę, albo się powiesić. Jestem skończony, nie mam farb!

— Ten Lodowaty wnet na psy zejdzie, przez pijaństwo, nie mówię nawet jako człowiek, ale i jako artysta — mówił do nas tego wieczoru przy bridżu — rejent, ojciec panny Krysi. Już portret pański panie burmistrzu, nie jest w kolorze. Pan ma oczy niebieskie, a nie szare. A moją dziewczynę zrobił w kolorze brudnej ścierki, czy niedomytej podłogi. Alkohol mu wzrok poraził, czy co?

— Tylko pośrednio alkohol zawinił — wyjaśniłem. — Poprostu został bez farb. Gdyby je miał, malowałby jak dawniej.

— Czy farby dużo kosztują? — zapytał ksiądz Szambelan.

— Nie za wiele. Ale sęk w tym, że pieniądze na farby dane, przepije.

— Jadę jutro rano do Krakowa, kupię mu farby — ofiarował się ksiądz poczciwina. Wstrętny z niego pijak, utrapienie z nim boże, ale, kiedy go już tu mamy, niechże talentu, który mu Pan Bóg dał nie marnuje. Kupię mu farby a musi mi za to wymalować potępienie pijaństwa na Dzień propagandy Wstrzemięźliwości. Zamknę go w Domu Ludowym i nie puszczę aż wymaluje.

Ale on na trzeźwo nie wytrzyma.

— Trudno. I wódkę mu też dam ,ale obraz być musi!

Przyklasnęliśmy wesoło projektowi. Nikt z nas nie przypuszczał, czym on grozi, choć dziś myślę, że można było to przewidzieć.

Było to w poniedziałek. W czwartek raniutko znalazł się mistrz Marciś w ścisłej klauzurze. Zakwaterowano go w sali teatralnej, gdzie okna były zbyt wysoko, aby przez nie zwiać potrafił.

Dano mu płótno o wymiarach podwójnych drzwi, dano mu też farby i to jakie farby! Ksiądz aprowizował go ad libitum w jadło i napoje.

— Nie miałem sumienia kazać mu malować pijaków skwierczących w ogniu piekielnym moi panowie. Ostatecznie czy ja wiem, czy Pan Bóg miłosierny i dla pijaków nie łaskaw? Maluje apoteozę Wstrzemięźliwości — i dobrze maluje — cieszył się ksiądz.

Malował przez czwartek, piątek i sobotę. Na niedzielę trzeba go było wypuścić, ponieważ w tym dniu urządzało Stowarzyszenie Dziewic i Matek doroczną Akademię. Zresztą i obraz był już prawie gotów.

Lodowaty ustawił go na czas przedstawienia w niszy pod oknem, pięknie prosząc, żeby go nie ruszać. Dopiero kiedyśmy mu to przyrzekli, poszedł na miasto pić — tym razem znów na swobodze. — Świetne, świetne są te farby, dziękował jeszcze za drzwiami.

Ksiądz był rad z obrazu.

Ów stał w niszy, na lewo od sceny i tak ożywiał salę, że i po wykończeniu postanowiliśmy go tam pozostawić. I to nie tylko ze względu na budującą treść. To nie był kicz, to był obraz!

Na Akademię Stowarzyszenia Matek i Dziewic jak corocznie nadpłynął mnogi tłum. Nie tylko cała inteligencja, której wypadało być, nie tylko młodzież obu szkół, ale także i cała okolica, masa starszych pań i panien, które się zwykle tylko w kościele widywało. Naturalnie wszyscy zwracali zaraz po wejściu uwagę na obraz górujący ponad krzesłami.

Akademię zagaić raczył sam Ksiądz Szambelan. Następnie po krótkiej produkcji orkiestry strażackiej mnie przypadł zaszczyt wygłoszenia odczytu pod tytułem: „Święta Monika w świetle najnowszych badań historycznych". Zauważyłem, że pomimo tak interesującego tematu i mej swady, niejeden ze słuchaczy zamiast patrzeć na mnie patrzy na obraz Marcinka. Ostatecznie wiedziałem, że mnie i tak z zajęciem słuchają, co zresztą potwierdziła po zakończeniu zasłużona burza oklasków. Można przecież patrzeć gdzie indziej, a słuchać czego innego. Ja też, mówiąc, patrzyłem później na ten obraz, gdyż chwyciłem się na tym, że ustawicznie patrzę na siedzącą w drugim rzędzie panią Irenę. Obraz przedstawiał Wstrzemięźliwość (z rysów twarzy przypominającą pannę Krysię, córkę Rejenta), w szacie błękitnej, w otoczeniu mężów i niewiast dobrze odżywionych i zadowolonych z siebie, przypominających nieco wybitne osobistości naszego miasteczka. Aniołek, śliczne dziecię, trzymał róg obfitości. Sypały się z niego na wstrzemięźliwych kwiaty, laury, klejnoty, domy i odznaczenia. Całość utrzymana była w kolorycie Madonny Sykstyńskiej — Złocista różaność i błękity!

Bądź co bądź nie każdy ma wymowę tak płynną jak ja i mój rzadki dar panowania nad tłumem. Ksiądz wikary, który miał mówić po mnie o Świętych Dziewicach nie tęgim był mówcą. Bojąc się, aby się biedak nie speszył i gapienia się na obraz źle nie zrozumiał, poleciłem po produkcji chóru przed przemówieniem księdza, odwrócić obraz tyłem do ściany.

Obraz był duży, stał dość wysoko; kościelny musiał stół przystawiać i krzesła odsuwać, aby rozkaz mój spełnić. Oczywiście kiedy jak kiedy, lecz w tej chwili, wszyscy obecni spoglądali w tę właśnie stronę. Stojąc ponad siedzącymi ujął płótno i . . .

Weźcie państwo smakosza wygłodniałego, zastawcie przed nim bufet obfity; ale po co tu porównanie. Każdy zrozumie, że malarz który długo farb nie ma i nie może wymalować tego, o czym śni — lecz nie uprzedzajmy wypadków . . .

Stał się skandal.

Kiedy kościelny to jedyne płótno, z jakim Lodowatego zamknięto frontem ku ścianie obrócił, na odwrocie ukazał się obraz. Arcydzieło nie obraz. Cudna pani Irena w stroju matki Ewy z tyrsem w ręku stała wśród gromady tańczących po polanie pijanych faunów i sylenów. Jeden miał twarz Rejenta, drugi Burmistrza, inny naczelnika sądu, a jeden podobno moją . . .

KROPLA WODY

Zadrżała mi na dłoni — różowa od mojej krwi —
kropla wody — sobowtór okrągły ślicznej łzy —
maleńka, jak większe niż świat cały słowo: „Ty"!
Odgadywałam jej migocącą srebrzystą treść:
czy to jest jakichś bezmiarów wodnych część?
czy samodzielna rosa, na kwiatach zgubiona gdzieś?
Jak w małym słowie „Ty" — było w niej wszystko:
wysoki błękit migotał przy mnie blisko
(jak twych odległych oczu najbliższe wciąż połyski)...
...i rubinowy szkarłat iskrzył się w tej kropelce
jakby w uścisku wody zamknięte biło serce...
owych różowych błysków było — widziałam! —
największej!!!
...i łuny pomarańczowe w czystym objęciu bieli
jak w otuleniu skupionych puszków anielich...
i seledyny łuku, co tęczą niebo ścieli...
I cały świat ogromny znalazł tam swe odbicie!
krasa całego dnia zadrgała słońca życiem!
Czy ta kropla — to prawda, czy to mi tylko śni się?..
— — bo przecież przez tę kroplę widnieje moja ręka
dzierżąca rzeczywistość z przezawrotnego piękna,
małego jak słowo „Ty", w którym świat na mnie
czeka... ...

M. A. Hessel

TĘSKNOTA

Lat czternaście biedna Dunia w obowiązku służy
w mieście wielkim — Boże drogi — czas się Duni dłuży,
więc pociechy szuka w robót przemisternych wzorkach,
i nad nimi siedząc — myśli o wsi swojej — Borkach.

Gdy w niedzielne popołudnie idzie na wychodne,
ma chusteczkę, żółty kostium i buciczki modne,
i niezgrabnie pręźąc nogi na wysokich korkach —
myśli o tym, co tam teraz robią we wsi — w Borkach.

Gdy w kościelnej ciszy słucha porannej prymarii,
szczęśliwa, że od dziecięcej uciekła „barbarii",
— zatopiona w modlitewnych różańca paciorkach,
myśli, jak się też nabożnie modlą ludzie w Borkach.

Zygmunt Szczyrski

KĄCIK SZACHOWY NR 14

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Gry otwarte

Grupa gier skoczka królewskiego:

1. e2—e4 e7—e5 2. Sg1—f3.

Jako regularne odpowiedzi w grze skoczka królewskiego (1. e2—e4 e7—e5 2. Sg1—f3) uważane są ruchy: 2. . . d7—d6, 2. . . Sg8—f6 i 2. . . Sb8—c6, które omówimy później.

Wszystkie inne odpowiedzi w drugim ruchu uważane były jako nieregularne i w schemacie ogólnym objęte są wspólnym mianem: Różne.

Mamy tu na myśli ruchy: 2. . . Gf8—d6?, 2. . . Hd8—f6?, 2. . . Gf8—c5? oraz 2. . . f7—f6? (obrona Damiana), 2. . . d7—d5 (gambit centralny w obronie) i 2. . . f7—f5 (obrona łotewska).

Ruchy 2. . . Gf8—d6, 2. . . Hd8—f6 i 2. . .Gf8—c5, których bezwartościowość wpada w oczy omówimy tylko w krótkości. Przy ruchach 2. . . Gf8—d6 i 2. . . Hd8—f6 widzimy na pierwszy rzut oka, że figury te zawadzają na drodze innym bierkom swego obozu i muszą stanowić przeszkodę w dalszym rozwoju sił bojowych. Hetman na f6 jest prócz tego wystawionym na ataki lekkich figur białych.

I) W razie 2. . . Gf8—d6? uzyskują białe natychmiast przewagę przez 3. d2—d4:

1. e2—e4 e7—e5	6. Sf3×e5 Gd6×e5
2. Sg1—f3 Gf8—d6?	7. f2—f4 Sf6×e4
3. d2—d4 Sb8—c6	8. Hd1—h5! i białe wygrywają.
4. Gf1—c4 Sg8—f6	
5. d4×e5 Sc6×e5?	

II) W razie 2. . . Hd8—f6? nastąpi według Jaenischa:

1. e2—e4 e7—e5	6. Hd1×d4 d7—d6
2. Sg1—f3 Hd8—f6?	7. Gf1—e2 Hg6×g2 [2])
3. Sb1—c3! c7—c6 [1])	8. Wh1—g1 Hg2—h3
4. d2—d4 e5×d4	9. e5×d6 z lepszą grą dla białych.
5. e4—e5 Hf6—g6	

[1]) Już uwydatnia się słabość drugiego ruchu czarnych. Czarne muszą się strzedz przed 4. Sc3—d5.

[2]) Grubym przeoczeniem byłoby 7 . . . H×c2? z powodu 8. G—d3!

III) 2 . . . Gf8—c5? nie może być branym pod uwagę jako odpowiedź.

1. e2—e4 e7—e5	5. Sb1—c3
2. Sg1—f3 Gf8—c5?	Białe utrzymują piona przy zabezpieczonej pozycji.
3. Sf3×e5 Hd8—e7	
4. d2—d4 Gc5—b6	

1. e2—e4 e7—e5	6. Sc3—d5 He7—d6
2. Sg1—f3 Gf8—c5?	7. d4×e5 Hd6×e5
3. Sf3×e5 Hd8—e7	8. Gc1—f4 He5×e4+
4. d2—d4 Gc5—d6 [1])	9. Hd1—e2
5. Sb1—c3! Gd6×e5	

[1]) Ta uporczywa dążność do odzyskania straconego piona musi mieć fatalne skutki dla czarnych.

1. e2—e4 e7—e5	8. Gf1—e2 He4×e5 [1])
2. Sg1—f3 Gf8—c5?	9. Gc1—f4 ±
3. Sf3×e5 Hd8—e7	[1]) Jeśli 8 . . . H×g2 to 9. G—f3. Jeśli 8 . . . S—a6 to 9. 0—0 z groźbą 10. G×a6.
4. d2—d4 Gc5—d6	
5. Sb1—c3! Gd6×e5	
6. Sc3—d5 He7—h4	
7. d4×e5 Hh4×e4+	

1. e2—e4 e7—e5	6. Se5×g6 He7×e4+
2. Sg1—f3 Gf8—c5?	7. Ke1—d1 He4×g6
3. Sf3×e5 Hd8—e7	8. Hh5×c5 ±
4. d2—d4 f7—f6 [1])	[1]) 4 . . . d6 5. S×f7!
5. Hd1—h5+ g7—g6	

Omówiliśmy już w krótkości 3 najgorsze obrony czarnych w grze skoczka królewskiego. Przystępujemy z kolei do rozpatrzenia 3 dalszych obron (po ruchach wstępnych: 1. e2—e4 e7—e5 2. Sg1—f3).

1) 2 . . . f7—f6? (obrona Damiana), która jest najsłabszą z nich i będzie omówioną pierwsza.

2) 2 . . . d7—d5 (gambit centralny w obronie) nieco lepsza obrona będzie omówioną następnie.

3) 2 . . . f7—f5 (obrona łotewska, zwana też kontrgambitem Greco lub gambitem piona w obronie), będzie omówioną trzecia z rzędu. Jest to obrona stosunkowo najlepsza z grupy trzech wymienionych dopiero co i w czasach nowszych bywa niekiedy stosowaną w grze turniejowej w przeciwieństwie do 2 poprzednich, które są przeżytkiem i unikatami.

Zaznacza się, że nie poleca się czarnymi stosowanie żadnych z tych sposobów gry, gdyż przy poprawnej grze ze strony białych prowadzą z reguły do przewagi białych. Omawiamy je dltego, aby wykazać sposób wykorzystania słabszej gry.

Oczywiście nie jest to zawsze rzeczą łatwą, szczególnie przy obronie łotewskiej, która nastręcza w tym kierunku najwięcej trudności.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr 6

F. Hladik (I. nagr. w konk. Mor. Sl. D. 1937)

Czarne: Kg4, Gc8, piony: b7, c7, f6, g3 (7).

Białe: Kg2, Ha2, Wh1, Gg5, Gb5, Sf5 (6).

Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie studium Nr 6 (Kubbel):

1. b8 H S—c6 2. K—c8 (A) S×b8 3. a7 S—d7. 4. K×d7 G—a4 5. K—d6 G—f4 (B) 6. K—d5 G—d1. 7. G—e4 K—g3 8. a8 H G×f3 9. K—f5 G×a8. 10. pat.
(A) 2. K—e8?? S×b8 3. a7 S—a6 i wygr.
(B) 5 . . . G—b4 6. K—c7 G—a5 7. K—d6 remis.

Partia Nr 16

Białe: Golmayo — Czarne: Makarczyk

grana na Olimpiadzie w Hamburgu 1930.

Partia szkocka.

1. e2—e4 e7—e5	11. Hd1—f3 Gf8—e7
2. Sg1—f3 Sb8—c6	12. h2—h3 [1]) h7—h6
3. Sb1—c3 Sg8—f6	13. Gg5—h4 Wa8—b8
4. d2—d4 e5×d4	14. b2—b3! Wb8—b4
5. Sf3×d4 Gf8—b4	15. Gh4—g3 Sf6—h7
6. Sd4×c6 b7×c6	16. Wf1—e1? [2]) Sh7—g5
7. Gf1—d3 0—0	17. Hf3—e2 Ge7—f6
8. 0—0 d7—d5	18. Gg3—e5 Gc8×h3
9. e4×d5 c6×d5	19. g2×h3 Gf6×e5
10. Gc1—g5 c7—c6	Białe poddały się.

U W A G I :

[1]) Najlepszym jest ruch szwedzkiego mistrza Löwenborga 12. Wa—e1, poczem po G—a6 13. S—d1.
[2]) I w tej pozycji wskazanym był ruch 16. Wa—e1.

Partia Nr 17

Białe: Prügel — Czarne: Dr Dyckhoff

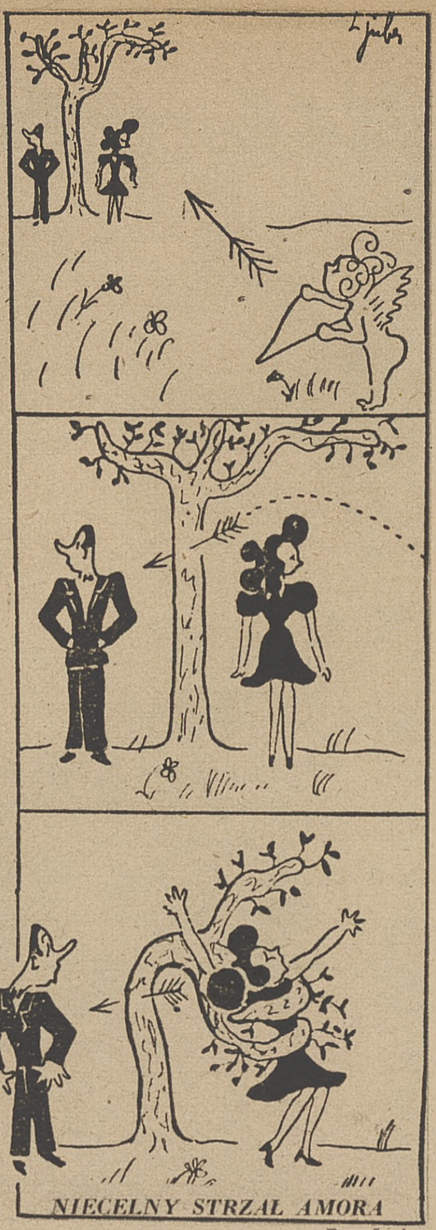
grana korespondencyjnie w r. 1928.

Partia szkocka.

1. e2—e4 e7—e5	6. Sb1—d2? [3]) Sf6—g4
2. Sg1—f3 Sb8—c6	7. g2—g3 Hh4—f6
3. d2—d4 e5×d4	8. Sd4—f3 Sc6—e5
4. Sf3×d4 Hd8—h4 [1])	9. Hd3—c3 Gf8—b4!
5. Hd1—d3? [2]) Sg8—f6	Białe poddały się.

U W A G I :

[1]) Niesolidny ruch, rzadko w tym otwarciu stosowany.
[2]) Błędny ruch. Najlepiej grać tu: 5. G—e3, lub 5. S—b5 (ruch Horrwitza), lub wreszcie 5. S—f3 (ruch Frasera).
[3]) Lepiej 6. S×c6.



Rys: Ljuba

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Ona: — Co powiedział mój ojciec, gdy poprosiłeś go o moją rękę?

On: — Powiedział, że nie jest powołany na anioła stróża w moim nieszczęściu.

*

Ona: — Ciekawa jestem, czy był na świecie choć jeden mężczyzna, który kochał tylko jedną kobietę.

On: — Naturalnie, kochanie.

Ona: — Ach, chcesz powiedzieć, że to niby ty nim jesteś.

On: — Nie, mam na myśli Adama.

*

— Proszę się rozebrać panno Zosiu, — mówi lekarz do znajomej panienki, która przyszła zasięgnąć jego porady.

— Kiedy ja się bardzo wstydzę panie doktorze.

— Mnie? dlaczego, przecież jestem lekarzem.

— To prawda, ale znamy się i spotykamy często w tym samym towarzystwie.

Lekarz zdenerwowany zawołał: — Na miły Bóg, niechże pani nie robi komedii. Proszę sobie wyobrazić, że to całkiem obcy mężczyzna stoi przed panią i rozebrać się bez żenady.

*

Żona: — Ten krawat, który sobie kupiłeś jest bardzo brzydki. Za każdym razem kiedy sam coś wybierzesz, okazujesz zupełny brak gustu.

Mąż: — Ależ, żoneczko, ciebie też przecież sam wybrałem.



Prosiłbym pana o zapłacenie z góry, gdyż ta łódka trochę zacieka...

Die Woche

— Moja miłość dla pani jest tak głęboka jak morze, — mówi zakochany młodzieniec.
— A jak głębokie jest morze? — pyta panienka.
— Tego nie mogę w tej chwili pani powiedzieć.
— W takim razie, cóż to za miłość?

*

Nauczyciel: — Technika czyni obecnie olbrzymie postępy! Czy może mi z was który powiedzieć, czego nie było przed 50 laty?
— Mnie, panie profesorze.

*

— Dlaczego nosisz stale tylko jedną rękawiczkę. Czy zgubiłeś drugą?
— Nic podobnego. Tę tylko znalazłem.

*

— Drobiazgi sprawiają nam więcej kłopotu niż rzeczy wielkie.
— Tak, to prawda. Łatwiej jest znaleźć swój dom, niż klucz od niego.

*

— Panie profesorze, czy to prawda, że wyprawa do ludożerców, jest taka niebezpieczna?
— Tak, proszę pana, jedną nogą stoi się zawsze na jadłospisie.

*

— Wiesz Lolu, mój szef ma nieznośny zwyczaj: trzyma pióro ciągle za uchem.
— Cóż ci to szkodzi?
— Szkodzi, bo po przywitaniu się z nim, mam zawsze podrapany policzek.

*

— Widuję pana przez cały tydzień w kawiarni i restauracji, jedynie w niedzielę nie można pana nigdzie znaleźć. Co też pan wtedy porabia?
— Niedziela należy się mojej rodzinie.
— Ach tak, a co pan w niedzielę porabia?
— Odsypiam cały tydzień.

*

Na ulicy bije się dwóch chłopców. Starszy leży na młodszym i okłada go pięściami ile wlezie. Jakiś przechodzień interweniuje:
— Jak możesz go tak bić, czy nie wiesz, że nawet swoich wrogów trzeba kochać?
— To nie jest wcale mój wróg, to mój brat — odpowiada chłopiec.



— Panie Piotrze, jak należy zrozumieć określenie że coś jest „konkretne"?
— „Konkretne". — to jest coś co można objąć i czuć, że się je ma.
— W takim razie dlaczego pan mnie uważa za „abstrakcyjną"?

Die Woche



— Niech pan mnie nie nadepnie, gdyż mam okropną ranę po wycięciu nagniotka na nodze!
— Ach ty biedaku, a na której?

Hamburger Illustrierte

Pan Hipolit strzeliwszy, widzi, że zając przewrócił się. Promieniejąc z radości mówi do leśniczego:
— No tego zająca udało mi się wreszcie trafić.
— Ależ niech pan patrzy, przecież zerwał się i biegnie dalej.
— Ależ dwa razy machnął kozła, sam widziałem.
— Tak, pewnie z radości, że pan spudłował.

*

— Czy pan prędko skończy robotę w łazience, mamusia chciałaby się kąpać.
— Pani może się kąpać, mnie to nie przeszkadza w robocie.

*

Jedna przyjaciółka: — Człowiek, którego ja wezmę na męża musi być po prostu bohaterem.
Druga przyjaciółka: — Dlaczego, taka straszna znowu nie jesteś.

KĄCIK KARYKATURZYSTY



Pisarczyna gminny Józef Kuba Rak — wracając do domu mocno podchmielony, oparł się z konieczności o latarnię i medytował:
— Nie rozumiem jak ten pies może coś tak śmierdzącego jeść?!...

Rys: K. Witanowicki

Targ na muły



Na lewo: **TAKIEGO DRUGIEGO OSŁA DARMO SZUKAĆ!**
Niby „paryski model” prezentowany bywa na targu osioł spodziewanemu nabywcy. Handel powoli zaczyna się i powoli zaognia się wymiana zdań. Kto też „da się ostatecznie nabrać?”

Poniżej: **BA! OGLĄDNIJMY NAJPIERW „OKAZOWĄ” SZTUKĘ!**
Nie idzie to tak łatwo, jakby ktoś myślał . . . Skóra, oczy, kopyta, zęby — wszystko musi zostać krytycznie ocenionym. Bo, co prawda chwalby idą aż pod niebiosa, ale własna ręka w dotyku ma jeszcze więcej danych do „zorientowania się” w prawdomówności handlarza.





Na lewo: **WIO! WIO! KŁUSEM I W TRAP NIECO . . .**
Właściwie można by dobić targu . . . Chodzi tylko o to, czy poczciwe zwierzę może się w ogóle jeszcze poruszać . . . No, ale tak źle nie jest. Można omawiać ostateczne warunki.

Fot: Eurofot



Niby koń, a niby osiołek, ni to, ni sio, słowem — muł! Spokrewniony blisko z jednym i drugim, oddaje nieocenione wręcz usługi w krainach górzystych i okolicach obfitujących w skaliste drogi i wąskie ścieżyny o kamienistym podłożu. Że daleko bardziej jest tam „poważanym” od popularnego prawie wszędzie roweru, o tym absolutnie nikogo chyba nie trzeba przekonywać. Taka np. Hiszpania mogłaby coś na ten temat powiedzieć. Nie ma tygodnia w tamtejszych miasteczkach prowicjonalnych, by obyło się bez targu właśnie na muły i osły, a nabywców jest sporo, sprzedających też niewiele mniej, za tym ruch znaczny i dokonanych transakcyj dużo. Sam targ nie jest tylko po prostu spędem eksponatów sprzedażowych, nie jest tylko tygodniowym zdarzeniem w bytowaniu często głuchej mieściny. Jest taki targ na muły „towarzyskim rendez-vous” znawców hodowlano-nabywczych, jest niemal czymś naukowym . . . Sam muł jest w zasadzie stworzeniem — powiedzmy — milczącym, za to jego dotychczasowi i ewentualni przyszli panowie, no, ci słyną daleko ze swej elokwencji. Nie ma się z czego śmiać. Gra tu rolę długoletnie doświadczenie i „honor” znawcy . . .

Na prawo: **ZADOWOLENIE OBOPÓLNE — TO GRUNT!**
Dzięki niebu! Interes załatwiony! Kupiec i sprzedający ukontentowani obaj. Pieniądze przechodzą z ręki do ręki. Uboczny obserwator nie jest wszakże nigdy pewnym kto zyskał naprawdę. To — tajemnica!